

ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XVIII.

Warszawa, dnia 15 maja 1926 roku.

Nr. 20.

ALEKSANDER ALFRED KONAR.

POWIEŚĆ Z CZASÓW PRZEDWOJENNYCH

BEZ SERCA.

20)

— Zobaczycie, nic z niej nie będzie. Nic gorszego nad fałszywe apetyty. Zmarnuje się.

— Żal mi tylko jej męża i córki.

— Bo było jej w życiu zadobrze.

Pani Hela odczuła doskonale, pomimo zachwyków zaślepionego w niej zawsze męża i nielicznych przyjaciół domu: lekarza domowego, pomocnika kancelarji Knoffa, oraz kilku jej fournisseur'ów, iż sukces jej był połowiczny.

Kładła to na karb swojej faktycznej tremy i niedoświadczenia artystycznego, zdając sobie sprawę, że jeszcze nie wszystkie tajniki sztuki zdobyła i że czeka ją praca, całe lata pracy. Bo zaniechanie wszystkiego z powodu lada przeciwnego pierwszego wiatru — byłoby tchórzostwem nie do darowania. I za nic w świecie nie przyznałaby się do porażki.

Gniewało ją najbardziej to, że te dość chłodne krytyki i fama wątpliwego sukcesu dojdą do Wróblej Woli. I widziała w myślach uśmiechy przyrodniej siostry i bratowej. No, i te miny wszystkich jej quasi przyjaciół warszawskich!

Lecz o cofnięciu się z wybranej drogi nie mogło już być mowy.

— Dotychczas to jeszcze były tylko amatorskie zabawki — zakonkludowała. — Passe-temps próżnującej burżujki, która się nudzi.

Postanowiła zwalczyć wszystkie bez wyjątku przeszkody; nawet te najtrudniejsze, nawet te, dla których trzeba znosić ofiary, poświęcić wszystko. Bo bez wielkich stawek niema wielkich wygranych. Zacięła się.

Poczęła winić Myszugę, że nie stoi już na wysokości obecnych zadań pedagogiki. Jest już za stary. Zwątpiła w kompetencję warszawskiej szkoły dramatycznej i skonstatowała swoje zbyt małe postępy w tańcach rytmicznych, w giestach i mimice.

Do wszystkich zamierzeń należy zabierać się serjo; inaczej nie zdziała się nic. Szkoda czasu i atłasu.

W głowie jej falowały coraz dalsze projekty, kotłowały coraz śmielsze zamierzenia; roily się plany w coraz większym stylu. Aż wreszcie śród bezsensownych nocy skryształizowało się postanowienie:

— Innej rady niema. Jedynie wyjazd za granicę. Choćby na rok jeden. Choćby na pół roku, do Paryża lub do Włoch na dalsze studia wokalne. Nie ucierpi na tem ani mąż, ani dziecko. Trudno. Innej rady niema.

I pani Hela rozpoczęła kampanję przeciwko oporowi męża perswazją, że czasowa jej nieobecność nie wpłynie ujemnie ani na zdrowie Hani, ani na jej edukację; bo mademoiselle jest rozsądna i do Hani tak

przywiązana, że Hania nie odczuje zupełnie braku matki. Również zarządzająca domem pani Andrzejowa tak poprowadzi gospodarstwo, że cały tryb domu ani na jotę się nie zmieni.

Kampanja ciągnęła się już od kilku miesięcy, lecz jedynie oddalonymi przygrywkami do bitew. Ostrzeliwany bronił się z całych sił, goręcej, niż przypuszczała. Lecz nareszcie przyszło do szturmujawnego.

— Więc, poprostu mówiąc, chcesz się ze mną rozstać — jęknął szczerze przejęty. — To jest szaleństwo poświęcać dla kanarka na dachu dom, męża i dziecko. Uczciwe kobiety godzą się na takie awanturnicze kroki jedynie dla jakichś bardzo ważnych przyczyn; albo dla chleba, albo z powodu łajdactwa męża, z powodu jego karcjarstwa, pijaństwa, lub z powodu własnego szału dla kochanka. Bo to jest, poprostu mówiąc — upierał się w swojej niemocy — ucieczka, porzucenie wszystkiego, rozstanie. Awantura, wstyd przed ludźmi, przed światem.

— Cóż za głupstwa! — upierała się przy swoim — zrozum to: Mówiłam ci sto razy, że to będzie rozłąka jedynie czasowa. Przecież nie wyrzekłabym się dziecka. Nie mam zamiaru być wędrowną śpiewaczką. Można doskonale połączyć scenę z obowiązkami żony i matki. Przekonasz się. Minęły już te czasy, kiedy grzebało się aktorów poza murami cmentarza. Roli artystki nie utożsamia się już obecnie z rolą kokoty. Za kulisami spotyka się nie o wiele mniej uczciwych kobiet, niż w obecnych salonach. Lecz niestety ta ucieczka jest dla mnie konieczną. Muszę spędzić na dobrych studjach w Paryżu jakiś czas, choćby pół roku. Poza większą, niż u nas, kulturą muzyczną, wiesz, jak działa na nas marka zagraniczna. Choć nie marzę o stałych występach scenicznych w Paryżu, w Londynie lub w New Yorku; lecz znasz Warszawę: nie dostałabym się nigdy na scenę warszawską bez krytyk choćby najskromniejszych prowincjonalnych dzienników zagranicznych.

Jakiś interesant przerwał im rozmowę. Wyszedł z pokoju.

— Lecz po co ta scena? — upierał się po kilku dniach, broniąc się od nowego ataku. — Czy mało sam rocznie zarabiam? Czy takim wielkim zaszczytem dla Hani będzie być córką aktorzy? —

— Nie wymawiałam ci nigdy, że zarabiasz rocznie zamało. Żyliśmy w tak zwanym przepychu, który zjadał całoroczne twoje dochody co do grosza. Wyjeżdżam nie dla rozkoszy. Porzucam ten cały przepych dla jednego pokoiku hotelowego, opłacanego odsetkami z mego posagu. W skromnej paryskiej mansardzie chcę pracować, aby mój pracą zdobyć posag

Hani i trochę grosza dla nas na czarną godzinę i na starość.

— Dziękuję mi za twoją opiekę. Pozostaw już mnie myśl o przyszłości i o posagu Hani. A twoje utrzymywanie się za granicą z własnych odsetków — to — śmiechu warte.

— Pojadę drugą klasą i nie zamierzam sprawiać sobie sukien u Douceta, ani stołować się u Paillarda.

— A więc wybrałaś Paryż? Bardzo odpowiednie miejsce do pracy; zwłaszcza dla samotnej młodej kobiety.

— Koszałki opałki! Nie zamierzam tam jeździć do lasku Bulońskiego, ani spacerować po wielkich bulwarach. Poza gwałtownym Paryżem cudzoziemców, t. j. Paryżem zbytku i rozpusty — jest jeszcze cichy i ustronny Paryż mozolnej pracy i spełniania obowiązków, doskonalenia się w swoim zawodzie. Jesteś też w błędzie, mój drogi, sądząc, że sprawi ujmę Hani matka zawodowa śpiewaczka. Scena nie deklasuje już teraz kobiety z towarzystwa. Ani jedna z kobiet, które u nas bywają — nie pogardzi salonem śpiewaczki operowej. Mówię to oczywiście jedynie dla uspokojenia twoich obaw, ponieważ domyślasz się, że mnie osobiście nie zależy na opinii tych idjotek.

— Zdawało mi się, że to ty wybierałaś sobie salony, a nie ja.

— O! Salony! Najadłam się już ich do syta. Wolałabym być szwaczką lub telefonistką, niż salonową hrabiną.

— Kiedy się jest głodnym, pojmuję, że pracuje się w szwalni, lub w biurze telefonów. Lecz scena, to nie zawód; to jest awantura arabska z tysiąca i jednej nocy. To porzucenie równego utartego gościa dla błędzenia po nieznanym, ciemnym manowcach...

— Nie, nie, nie. To są przestarzałe przesady. To niesą manowce. Tylko tam jest życie. Tylko tym odważnym, jak ty nazywasz awanturnikom, szukającym nieznanego, odkrywającym nowe drogi — zawdzięcza się wszystko dobre na tym świecie. A ten twój utarty gościniec — to wegetacja. Moje siły żywotne w tem mieszczańskim dolce far niente nie mają ujścia, żadnego ruchu, rozpędu. Uważałam cię zawsze za człowieka zacnego i nie mam ci nic ważniejszego do zarzucenia. Lecz trudno. Ja duszę się w próżniactwie tej złoczonej klatki. Nie wystarczają mi lilipucie cele salonów, lilipucie miłości.

— Moja droga, to jest życie. Upijasz się frazesami. Uważałam cię zawsze za kobietę rozsądną. A ten twój ideał pogoni za nieuchwytnym szczęściem — to awantura. Zastanów się dobrze nad tym ważnym krokiem, abyś tego kiedy nie żałowała — zakończył zupełnie już poważnie.

— Już się zastanowiłam. Postanowienie moje jest niezłomne.

— I jak długo zamierzasz fruwać ponad ziemią?

— Mówiłam ci już, że nie zamierzam porzucać dziecka, ciebie i Warszawy na zawsze. Dramatyzujesz to moje fruwanie ponad ziemią i utrudniasz niełatwe zadanie, na jakie się zdobywam. Wystudjowałam z Myszugą trzy gotowe już partje operowe: Małgorzatę, Violetę i Butterfly, które zamierzam wykończyć pod kierunkiem Reszkego lub Sbriglija w Paryżu. Jako uczenica jednego z nich, zamierzam wystąpić na jakiegokolwiek scenie zagranicznej. To wszystko razem nie powinno trwać dłużej, niż pół roku. Potem wystaram się o występ na scenie warszawskiej, już nie jako debutantka, pani dyrektorowa Knoffowa z towarzystwa (Nie zamierzam plamić twego nazwiska) lecz jako signora Helleni, primadonna teatru dal Ver-

me — powiedzmy — w Ankonie. Choć teatr w Ankonie nie jest o wiele większym od teatru w Lublinie; lecz wiesz, że samo brzmienie: Ankona — olśniewa Warszawę. I jedynie taką rodaczkę z zagraniczną marką, choćby jakiejś tam Ankony — angażuje Warszawa i opłaca hojniej, niż jakakolwiek inna ze stolic europejskich. Ze wszystkich naszych primadon niema ani jednej, która nie miałaby za sobą takiej jakiejś Ankony.

— Wiem — machnął ręką, że niczyje nawracanie ani przekonywanie nie wpłyną na twój upór, który ty z taką dumą nazywasz charakterem. Nie mam zresztą ani odpowiednich zdolności, ani czasu. Uczynisz, jak zechcesz. Lecz pamiętaj, abyś tego kroku nie żałowała.

— Już mi to kilka razy mówiłeś.

— Na manowcach można zabłądzić i głównego gościa już nie odnaleźć.

— Nie boję się. Znasz mnie. Nie jestem pijaczką. Odpowiadam za siebie.

— Wiem, że jesteś nieustępliwą. Lecz czy ty pamiętasz, com ci mówił przed ślubem? Że ja obawiam się jedynie głupoty, na którą rady niema.

— Wiem. Ale wobec tego, że rady niema...

— Więc stanowczo po upływie 6-ciu miesięcy będziesz z powrotem w domu? — ustąpił wreszcie po pewnym czasie, widząc jej ostateczne przygotowywanie do podróży, przekonany, jak zwykle, siłą i męstwem jej logiki, przeświadczony, że faktycznie przedramatyzował jej wycieczkę za granicę i że jego poglądy na karierę sceniczną i na jedyną rolę kobiet, jako kapłanek domowego ogniska — są już przestarzałe. Bo umysłowi Heli nie mogą faktycznie wystarczać idjotyczne salony, stroje i plotki; a że Hela nie jest żywiołową pijaczką — zdaje sobie w swojej trzeźwości doskonale sprawę z tego, co uczciwej kobiecie wolno, a czego nie wolno.

W ciągu miesiąca po tej rozmowie pani Hela, opuszczając męża, dziecko i domowe ognisko, wyruszyła do Paryża.

Na peronie Knoff, zmęczony ścisaniem u kasy kolejowej, gorączkowym ekspedjowaniem kufrów i kupnem biletów (bo spóźnili się trochę na dworzec kolejowy), stał przed zamkniętym już przez konduktora wagonem — z miną, jak zwykle, dość apatyczną, pod którą ukrywał zawsze zarówno smutek, jak i znużenie.

Hania w ślicznych jasnych lokach, w białej sukience i w takimże paltociku, doskonale ułożona — gwarzyła z mademoiselle.

— Mam nadzieję, że otrzymam od ciebie list z Berlina — rzucił jej ostatnie słowa, zmęczony już tą uroczystością Knoff.

— Naturalnie — krzyknęła z okna wagonu uśmiechnięta po kabotyńsku, lecz bardzo blada. — Bądźcie zdrowi. Haniu pamiętaj — zająknęła się, bo coś za gardło ją ścisnęło.

Pociąg ruszył zwolna ze świstem pary i stukiem kół o relsy.

Knoff zdjął kapelusz z głowy. Hania, trzymająca za rękę mademoiselle — rzucała matce pocałunki.

— A pisz koniecznie z Berlina — upierał się, nie wiedząc już, co powiedzieć.

Dopiero, kiedy koła pociągu już całą parą ruszyły, kiedy dojrzała, jak mąż jej wraz z mademoiselle wzięli za rękę Hanię, aby opuścić już peron — pani Hela odeszła od okna, aby gwałtem cisnących się do jej oczu niemieckich łez nikt nie dojrzał.

(D. c. n.).

Koniec Don Juana.

Kochał ją głęboko i szczerze, jak wszystkie swe dotychczasowe kochanki, ale tem głębiej, silniej i potężniej, że wiek przyprószył mu już siwizną skronie. Nie czuł się starym, jednakże od czasu do czasu spostrzegał dokoła siebie dziwną pustkę, podczas gdy wlokący się za nim długi orszak wspomnień wzrastał i tłumnie zbliżał się ku niemu, jak gdyby chcąc go otoczyć i wcielić w swe szeregi. Zdawało mu się wtedy, że dla siebie sam zaczyna stawać się wspomnieniem.

Młodości jego bronila gorąca miłość. Ona to użyczała wciąż świetnego blasku jego mądrym, dobrotliwym oczom, pogodą opromieniała mu gładkie czoło i uśmiech wywoływała na jego rasową, suchą twarz. Był wciąż jeszcze piękny, miły i pełen tego szlachetnego męskiego wdzięku, którego miękkość jest dziecięciem siły.

Kochał ją do szaleństwa, jak nie kochał nigdy jeszcze. Miała przepyszne złoto-popielate bujne włosy, miękie jak jedwab, szlachetną, jasną twarz greckiej bogini, brwi grube i ciemno-złote, jak dojrzałe kłosa pszeniczne i ogromne, czarne oczy, otoczone jedwabistemi złotymi rzęsami. Usta jej, w najpoważniejszych chwilach nawet zawsze niby do łaskawego uśmiechu złożone, były nieustającym, żywym pocałunkiem. Nieopisana była słodka harmonja jej wytwornych ruchów, pełnych kobiecej miękkości i dostojności zarazem. Była królową, która nie rządzi, lecz panuje przez to, że w sercach wszystkich żywie jej miłość. Jej głos dźwięczny, wibrujący najwznioślejszem uczuciem, pętał serca, niby wstęga z błękitnego jedwabiu, zdobna w ornamenti z pereł, brylantów, rubinów i szafirów, naszywanych srebrnymi i złotymi nićmi. Była kwiatem żywym, śpiewającym i rozsiewającym dokoła siebie czarowny aromat dobroci.

Pewnego dnia siedzieli przy deserze, rozmawiając. Odgradała ich głęboka gliniana misa, malowana w pstre ornamenti ludowe, a pełna rumianych jabłek, wielkich, smagłych od słońca, pozłocistych gruszek i granatowych śliw, siwym puszkami powleczone.

W pokoju była cisza, w powietrzu panował niefrasobliwy spokój słonecznego popołudnia wczesnej jesieni. Korony wielkich, starych drzew w ogrodzie zaczęły nabierać tonów gobelinowych.

Rozmawiali, jak zwykle, o swej miłości.

— Więc ty masz siostrę? — zdziwił się. — Nigdy mi o tem nie mówiłaś!

Odpowiedziała:

— Nie mam siostry, wyraziłam się tylko, że tego „nie żyłabym swej siostrze”, oczywiście, o ilebym ją miała.

— Więc nie masz siostry?

— Nie.

— Szkoda — rzekł po chwili namysłu.

— Dlaczego? — zapytała.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę marzącemi, jakby w głąb duszy zwróconemi oczami.

— Bo gdyby ta dziewczyna była tak piękna, jak ty, i do ciebie podobna, musiałbym ją mieć.

W oczach jej ujrział zdumienie, graniczące niemal z urazą.

— Dlaczego? Nie rozumiem! — zdziwiła się.

— Jakże? Nie rozumiesz? — tłumaczył jej. — Jesteś żywa, to znaczy wciąż się zmieniasz — i dlatego tak cię kocham. Jesteś jedna w jednej postaci, lecz w wielu odmianach. — Inna rano, inna popołudniu, inna wieczorem, inna w nocy, inna dziś, inna wczoraj i inna jutro... Zrozum, zmieniasz się tak często i prędko, że stajesz się nieuchwytna... Dlatego idę za tobą... Pomyśl, gdybyś się potrafiła rozszczepić na tysiące postaci, gdybyś była, jak Bóg w Indjach, jeden i ten sam pod najrozmaitszemi postaciami dziesiątka tysięcy bogów... Gdybym we

wszystkiem, w każdym przejawie życia, w każdej poszczególnej, tak chyżo mknącej fali czasu, czy wydarzeń, czy kształtów przemijających, mógł zawsze odnaleźć ciebie. — Czy wskazaniem mej miłości nie byłoby szukać cię wciąż, wszędzie i zawsze, aby cię wciąż nanowo z radością odnajdywać i znowu witać i znowu tobą się cieszyć?...

— Nie rozumiem — odrzekł po chwili namysłu. — Kocham cię tak, że gdybym miała siostrę, samabym ci ją przyprowadziła, ale od tej chwili nigdy byś już mnie nie zobaczył...

— Szkoda, — odpowiedział. — W tej chwili nie rozumiesz ani mnie, ani mojej miłości. Nie możesz pojąć, że kochając twą siostrę, uwielbiałbym w niej właśnie tylko ciebie. I gdybyś miała tysiąc siostr, chciałbym mieć wszystkie, bo w nich byłabyś ty, wciąż inna...

Potrząsnęła zlekka swą cudną głową.

— Nie rozumiem i nie zrozumie — przyznała się. — Ja jestem jedna. Ja jestem ja.

Uśmiechnął się.

— Właśnie ciebie, jako takiej, wogóle wcale niema. Jesteś przecudnem przemijaniem, niczem więcej. Świadomie czy nieświadomie dążysz wciąż naprzód, a ja idę za tobą, zakochany w twej tęczącej chimeryczności. Jesteś przecudna, wierzę mi, ale — nie istniejesz, to ci się tylko zdaje...

Tu zamilkł i pograżył się w rozmyślania. Trwało to może kilka sekund, a może kilka tygodni. Myślał o wszystkich swoich dawnych kochankach. Choć tak liczne, różne rasą, pochodzeniem, rozlicznymi odcieniami niewypowiedzianego piękna swej młodości i wonnej świeżości pierwszy raz kochającego serca, czyż właściwie nie były siostrami? Ileż razy na wargach całujących splatały się mu ich różne słodkie imiona, ileż razy w duszy w girlandę iskrzącą najmiłszymi wspomnieniami wiązały się ukochane ich kształty? Czyż lśniące, tyłu ogniami świecące, różnobarwne ich oczy nie były niby mieniące się cudnie w złoto oprawne oka olbrzymiego pawiego pióropusza? Było ich tak wiele, ale w ciemnościach nocnych całowała go zawsze jedna tylko i ta sama: Ona. Ona, mająca całą litanję imion melodyjnych, dźwięcznych, pieszczotliwych, a pełnych poezji, Ona — opasująca go niezliczonymi ramionami i pieszczącami niezliczonymi, a wszędzie obecnymi, trzepocącemi się jak miękko-skrydła ćmy, delikatnymi rączkami swej miłości. Ona, która zsunawszy mu na czoło gęstą, wonną, w marzeniach skąpaną, zaslonę swych bujnych włosów, tworzyła noc w jego oczach i dawała mu sen. Ona, która zawsze rano rozsuwała zasłony w oknach jego pokoju, wpuszczając weń błękitne promienie nowego dnia...

— Wielka szkoda, że nie masz siostry — rzekł po namysłu. — I wielka szkoda, że mnie nie rozumiesz. To bardzo źle. To „nie rozumiem” stanęło między mną i tobą i może nam wiele krzywd wyrządzić. Albowiem to właśnie, czego nie rozumiesz, stanowi istotę mej miłości.

* * *

Mówiąc to, miał wrażenie, że żegna się z nużącym znajomym nieznanym, aby przyłączyć się do śpieszącego naprzeciw niego zdawna utęsknionego, drogiego człowieka.

— Wielka szkoda, że nie masz siostry — powtórzył jeszcze raz.

A przyjrząwszy się jej lepiej, zaczął sobie w duchu tę jej siostrę wyobrażać. I dał jej te same włosy, te same barwy jedwabnej miękkości, ale napuścił je słonecznym balsamem kłosnym, tak aby wszystkie pola zbożowe w nich żyły. Przepaścił czarne oczy, z których tryskała oddana aż do śmierci, tkliwa, pierwotna, macierzyńska miłość Murzynki, barwił błękitem

marzenia, aż czarny ich blask zagrał indygiem cejlońskiego sza-
firu. Usta malutkie, prawie dziecinne, stały się niby usta Chinki,
melodyjnymi słowy opowiadającej dziwne przygody kochają-
cych serc swego kraju. Ciało nabrało matowej bieli hinduskiego
lotosu i stało się wiotkie, jak ljana, przytem przejrzyste,
jak najcudniejsza waza z chińskiej porcelany.

Tworzył codzien w wielkiej męce ducha, z wielkim wy-
silkiem umysłowym, wciąż w skupieniu i z najwyższym zachwy-
tem przyglądając się kochance, według której modelował jej
„siostrę”.

Zaś ona stała się niespokojna i podejrzliwa. Nie rozsta-
wali się ani na chwilę, a jednak czuła, że on nie myśli o niej,
lecz o kimś innym. O kim? Nie było nikogo, prócz niej. Nic
się w jego postępowaniu z nią nie zmieniło, był zawsze niezmiernie
miły, wytworny i głęboko odczuwający i rozumiał, że kocha
ją, jak dawniej. Nie wątpiła też, że tak samo kocha go i ona.
Słońce dla niej nie weszło nigdy, dopóki się z nim rano nie
spotkała. Dopiero gdy pocałował ją w rękę i spojrzal jej
w oczy, słońce zaczynało świecić, niebo nabierało barw, obłoki
na niebie promieniały perłowym blaskiem, a drzewa tryskały
z ziemi, jak radośnie szumiące bujne zielone gejzery.

Ale jego migdałowe, zawsze poniekąd zamglone oczy
zwrócone były wciąż w dal i na najbliższe nawet przedmioty
patrzyły tak, jak gdyby one znajdowały się bardzo daleko.

Już Ją prawie widział w duchu, już czuł Ją w pobliżu
i pewny był, że niedaleki jest dzień, w którym Ją spotka. Nie
wątpił ani chwili, że będzie wyglądała tak, jak Ją sobie wymar-
zył. Nie wątpił ani chwili, że będzie dziecięciem Piękna, tego
cudownego haremu, jakim jest świat. Był pewny, że nazwie mu
się sama imieniem, które dla niej wymarzył ze względu na roz-
wianą jej złotą grzywę: Berenice! — Wierzył, iż przyjdzie do
niego sama, pokonawszy wszystkie trudności, poczynając od
drzwi zaryglowanych, a skończywszy na swem nieistnieniu ma-
terjalnem.

Ona zaś (Och, nie Berenice!) czuwała z każdym dniem
zazdrośniej. Rywalki znaleźć nigdzie nie mogła, była jednak
głęboko przekonana, że Ona istnieje. Widziała to z jego oczu,
poznawała po zadumie, po poezji coraz głębszej tęsknoty, po
tem jakimś drzeniu nerwowem świadczącym o wzruszeniu oče-
kiwania. Nie pozwalała mu nawet wyjść samemu do ogrodu,
i tak chodzili we dwoje milczący długimi alejami podczas
ciepłych, gwiazdzistych nocy jesiennych: On, chory z tęsknoty,
ona, chora z zazdrości.

Zauważył to.

— Nie bądź zazdrosna — powiedział jej raz. — Zazdrość
jest oznaką słabości i niemocy i pierwszą rysą starości. Jeżeli
chcesz być młoda — ufaj zawsze.

Ale pewnej nocy usłyszała, jak szeptał przez sen
z utęsknieniem:

— Berenice! Berenice!

Zbudziła go i zapytała gwałtownie:

— Kto jest ta Berenice, o której mówisz przez sen?

Uczuła w ciemnościach, że się uśmiechnął.

— Berenice? — odpowiedział swym głębokim, ciepłym,
miękkim głosem. — Tak się nazywa mój sen... Czyżbym istotnie
o niej mówił?

Była pewna, iż zakochał się w wspomnieniu.

Pewnego dnia siedział zamyślony w swym pokoju. Fotel
przysunął do wysokich, francuskich drzwi, wychodzących na
ogród i, pieszcząc długimi, cienkimi palcami rżnięte w dębie
lwie głowy, zdobiące poręczce krzesła, zapatrzył się w piękny
klomb ogromnych, czarnych, kanadyjskich sosen. Było połud-
nie. Zgóry potop światła, dokoła zupełna cisza. Po trawniku
wałęsało się przez jakiś czas sześć przepięknych, kosmatych wil-
ków o gęstej jedwabistej sierści i bursztynowych, dobrych, ma-
rzących oczach. Psy pokładły się w cieniu sosen i machając
puszystymi ogonami, zaczęły drzemać. Niedaleko zerwał się
z trawy spóźniony biały motyl i, latając nierówno, bujał w smu-
dze słonecznej. Z górnej framugi drzwi po linie srebrnej
z własnej jaźni wysnutej spuścił się nadół mały pajaczek; po-

huśtawszy się w ciepłym powietrzu i ujrawszy drzemiącego na
kryśle człowieka, zamierzał w pierwszej chwili wrócić znowu
na właściwą sobie wyżynę, ponieważ jednak trafił go ciepły pro-
mień słoneczny, wyrzekł się swego zamiaru i znieruchomiawszy,
utkwiał w powietrzu, jak kropka na końcu nienapisanego zdania.

Zdanie to naraz zabłysło słonecznymi literami. Z cienia
czarnych sosen wynurzyła się Ona i minawszy drzemiące na
murawie psy, ruszyła wprost ku krzesłu, na którym siedział
człowiek, napół zmrużonymi oczami patrzący w słoneczną
jasność południa. Szła, żadnej trawki nie tykając stopą. —
W powłóczystej szacie, zamalowanej w najcudniejsze, drobne
kwiatuszki, mieniającej się, jak woda morska, i w połocistej ko-
ronie, splecionej niby z promieni słonecznych. Na jasnej twa-
rzy miała uśmiech niewypowiedzianej dobroci, a oczy jej ciem-
no błękitne gorzały ciepłym błogosławiącym blaskiem nieba.
Szła prędko, prawą ręką uniósłszy nieco przód sukni tak, iż
widać było, jak drobne jej stópki, niby z białego koralu, piszą
na gęstej, zielonej murawie ozdobną cyfrę jej wdzięcznego chodu,
A kiedy podeszła bliżej, zarzuciła mu na szyję swe chłodne ra-
miona i długo, długo całowała go w usta.

— Kto jesteś? — zdołał pomyśleć.

— Berenice — odpowiedziała mu.

— Więc ty jednak istniejesz?

— Istniałam zawsze i zawsze istnieć będę dla tych, któ-
rzy potrafią mnie stworzyć. Kochaj!

Ocknął się.

Dobrze znana, ukochana ręka trzymała go za dłoń.

— Spójrz mi w oczy! — śpiewał cudnie miły głos. — Dla-
czego jesteś tak zamyślony? Najdroższy mój, jedyny. O kim
myślisz?

Stała przed nim jego najdroższa kochanka — ostatnia.

Mówiła:

— Niegodziwcze! Oczy masz teraz tak czyste, przejrzyste
i jasne, a tak świejące, jak kiedy mnie całujesz! I usta
masz taksamo szkarłatne. Kogo tu całowałeś?!

Ruchem ręki wskazał jej smugę słoneczną.

— Ją! Rozumiesz? Twą siostrę!

— Nie rozumiem! — odpowiedziała z bólem, potrząsa-
jąc przecząco złotą strzechą swych włosów.

* * *

Z suchym szelestem leciały liście z drzew. Bywały ciepłe
popołudnia, pogodne ranki, wrzosowo-krwawe zachody słońca,
budzące w duszy wspomnienia żalonych pieśni dziewcząt, zbiera-
jących borówki. Bywały też dnie dżdżyste i słotne, a noce
niepokojone wichrowymi burzami.

Chodził po parkach, po ulicach. Długie godziny przesia-
dywał w kawiarniach i jasno oświetlonych salach restauracyj-
nych, brzęczących taneczną muzyką, niby parobek mosiężnymi
kółkami u pasa. Zdarzało się, że czyjeś tkliwe, miękkie rączki
brały go za skroń, zdarzało się, że czyjeś cudne usta przyłgnęły
do jego warg, zdarzało się, że oczy pełne miłości wyjrzały do
niego z chaosu i zagładnęły mu w głąb duszy, zdarzało się też,
że białe, chłodne, toczone ramię objęło go z całą macierzyńską
miłością za szyję i przytuliło go do kochającej piersi. On jednak
wydzierał się temu wszystkiemu, aż wreszcie pewnej ciemnej,
słotnej nocy ruszył przed siebie niewiadomo dokąd, mając przed
oczami wciąż tę jedną tylko, której szukał od początku w duszy
i tylko w duszy znalazł.

Szedł, a ciemności nocy zawarły się za nim.

KONIEC.

